065

POWRÓT „UPIORÓW”

BOŻENA WINNICKA

Tytuł „Upiorów” Ibsena brzmi w oryginale bardzo melodyjnie. „Gengangere”. Znaczy: ci, którzy powracają. Lub: to, co powraca. Słowo upiory powtarza się w tekście kilkakrotnie. Wypowiada je pani Alving, za każdym razem odmienne nadając mu znaczenie. Najpierw jest to widmo kapitana Alvinga, powracające do smutnego domu nad fiordem. Potem upiorami są „stare, martwe poglądy, strupieszałe wierzenia”, normy postępowania odziedziczone z przeszłości, narzucone i uznane przez społeczeństwo. Po Alvingu syn odziedziczył chorobę, która go zabija. Zatem przeszłość niszczy teraźniejszość, unicestwia przyszłość. Ale Oswald dziedziczy także po ojcu radość i żądzę życia, zapewne również fantazję, która pozwoliła mu stać się artystą.

W „Upiorach” wszystko jest jasne. Napisane prosto, wyraźnie, wytłumaczone z właściwym Ibsenowi gadulstwem. Suche streszczenie sztuki, nawet najbardziej wierne i rzetelne, wzbudzić dziś może pobłażliwe politowanie. Fabuła wątła i dość ckliwa, problemy i poglądy mocno zwietrzałe, obyczajowy obrazek tego światka, owe odważnie skandalizujące wszeteczeństwa, nieślubne związki, dzieci i bezeceństwa — nieznośnie anachroniczne, dialogi płaskie, przegadane, rozciągnięte bez miary i umiaru. Obrazek epoki, która odeszła. Na pozór. W istocie nic w „Upiorach” nie jest oczywiste i absolutnie jednoznaczne. Niemal wszystko da się odczytywać różnie, jak różnie można rozumieć „to, co powraca”.

Ibsen napisał realistyczny dramat rodzinny. O normalnych ludziach w normalnej rzeczywistości. Konkretnej i określonej. Rozgrywa się w solidnym pokoju, z drzwiami, krzesłami i kanapą. I oranżerią za oknem z widokiem na fiord. W ciągu jednej doby. Zaczyna się w deszczowy poranek, kiedy wszystko wydaje się układać pomyślnie. Jak w solidnej, mieszczańskiej sztuce mówi się o interesach, przeszłości, przyszłości. Misja pani Alving spełniona, rachunek z nieudanym życiem wyrównany, syn powrócił do domu, sprawa Reginy załatwiona, dziedzictwo po bezecnym mężu wyrosło nie opodal w okazały budynek zakładu dobroczynnego. I oto od poranka do świtu następnego dnia wali się świat, tak pracowicie, z udręką budowany przez dwadzieścia osiem lat rozpaczliwej codzienności. Cios, jaki dosięga panią Alving, może być na scenie tylko nieszczęściem. Można mu też nadać wymiar tragedii. Bardzo współczesnej, a więc takiej, która może stać się naszym także udziałem. „Upiory” są bowiem dramatem dochodzenia do prawdy. Powoli, stopniowo, z rozwlekłych dialogów wyłaniają się ludzie tacy, jacy są w istocie. Bez kłamstw, złudzeń, pozorów i fałszu. Odsłania się też przeszłość, która była przekleństwem, a teraz inaczej jest rozumiana. Dotyczy to nie tylko pani Alving i Oswalda, ale wszystkich, a także kapitana Alvinga.

W „Upiorach” występuje pięć osób połączonych więzami uczuciowymi i rodzinnymi. Ale jest jeszcze szósta postać. Zmarły kapitan Alving. Mówi się o nim stale i dużo. Jego życie i to, jaki był, wyłania się w trakcie sztuki tak samo wyraźnie, jak nabierają barw portrety osób działających na scenie. „Człowiek upadły”, jak mówi o nim żona, zmienia się w „bezgranicznie nieszczęśliwego”. Na jakie życie skazany został biedny kapitan, jak Oswald pełen życia, temperamentu, ambicji i radości? Żona, zakochana w Mandersie, zapewne z obowiązku z nim żyła i z obowiązku sypiała. Niewiele, jak sama przyznaje, wniosła do domu radości. I cóż to za rozpusta, w której nurzał się znudzony mąż? Nocne życie małego purytańskiego miasteczka nie mogło być przecież nazbyt wyuzdane. Małżeństwo Alvingów to jakby odwrócony układ z „Nory”. Chłodna, akuratna żona, ze swymi zasadami, obowiązkami i „zmienny jak pogoda wiosenna”, uwięziony w nakazach solidnego małżeństwa kapitan, w gruncie rzeczy całkiem porządny, normalny, nieszczęśliwy człowiek. Nawet z tą wredną chorobą miał paskudnego pecha. Tak więc upiór kapitana Alvinga przestaje straszyć. Jeżeli oczywiście krętka syfilisu nie potraktujemy jak złowieszczego fatum. Prawda o człowieku jest więc relatywna. Nigdy oczywista i bezwzględnie jednoznaczna. Wiemy to dzisiaj, rozumiał to też doskonale Ibsen. I jeżeli w jego dramatach dostrzega się wymiar współczesnej tragedii, to między innymi, a może przede wszystkim dlatego.

Dramat pani Alving nie ma znamion odwiecznej niedoskonałości ludzkiej egzystencji, z wiszącym nad nią losem, nieodwołalnie i bez litości niszczącym niewinnych. Polega on raczej na dojściu do samoświadomości. Na zrozumieniu, że wszystko, co robiła w najlepszej wierze, w przekonaniu o własnej szlachetności, niewinności, z aureolą ofiary — świata, życia, męża wreszcie — było pomyłką. Drogą ku klęsce. Własnej i syna. Tragedia pani Alving jest uświadomieniem błędu, wyboru, za który trzeba płacić. Wyboru życia na gruncie kłamstwa. Zrozumieniem własnej winy. Za nieudane życie, za śmiertelną chorobę syna.

Porównywano „Upiory”” do greckich tragedii. Los pani Alving do losu Edypa. Jak Edyp bowiem, w zgubnym uporze i bolesnej męce, dociera do rozpoznania, co za Arystotelesem nazwano „tragiczną winą”. „Zobaczyłam nagle swoje życie w zupełnie innym świetle” — mówi. Nie można uciec od upiorów przeszłości. A więc od siebie i swoich win, jeśli nawet intencje mieliśmy szlachetne.

Oczywiście, różnie można rozumieć „Upiory”. I grać je w teatrze na wiele sposobów. Przecież jedno jest pewne. Każda interpretacja będzie chybiona, jeżeli po scenie nie chodzą żywi ludzie, ze współczesną nam wrażliwością. Ibsen z wnikliwą wyobraźnią i ostrożną rozwagą nakładał i mieszał barwy, tony i cienie swych psychologicznych portretów. I dlatego powracają „Upiory” na scenę. Rzadko, co prawda, ale ciągle, na nowo próbuje teatr zmagać się z tym niewdzięcznym dramatem. Jak dotąd bez powodzenia.

Rudolf Zioło wyreżyserował „Upiory” na scenie kameralnej wrocławskiego Teatru Polskiego. Przedstawienie jest niedobre. Porażka Zioły w zmaganiach z Ibsenem jest znamienna. Dowodzi bowiem, jak sędziwy Norweg broni się przed wszelkim uproszczeniem i jak nieprzebytą stał się barierą dla aktorów. Nawet dobrych.

Scena obita czernią. Z boków, w tyle czerwone zasłony, podświetlone. W głębi, jak chce Ibsen, „coś w rodzaju oranżerii”. Szklana ściana, przez nią gałąź magnolii. Bezlistna, kaleka. Same kwiaty, barwne, piękne, ale jakby ubogie. Stół, kanapa, krzesła, bujany wiklinowy fotel. W czasie pożaru horyzont rozświetli się czerwono, podjedzie do góry, odsłaniając szarobrązowy, wypalony świat. Dekoracja Andrzeja Witkowskiego jest w miarę realistyczna i w miarę symboliczna. Zapowiada rzecz o ludziach pięknych, kalekich. Muzyka Janusza Stokłosy to na początku fortepianowy, sentymentalny motyw walca. Nabierze potem tonów dramatycznych, aż po dysonansowe brzmienie w finale. Wszystko to ma znaczenie i sens.

Zioło stara się nadać „Upiorom” tony tragedii. No, przynajmniej dramatu. Ale nie w ludziach go szuka, nie w odkrywaniu prawdy, względnej i wieloznacznej, lecz w przeciwstawieniu świat—człowiek. W porządku świata, który jest dany, zastany. Rządzą nim fatalne przypadki, jak owa choroba. Świat plugawi wszystko, także miłość. A więc scena miłosna Reginy z Oswaldem jest ilustracją opowiadania pani Alving. Jest czysta, w pełnym świetle, jasna i bardzo ładna. A jednak pozostawia wątpliwości. Że miłość młodych jest piękna, nie trzeba nas przekonywać. Na widowni nie siedzą przecież Mandersowie. Zatem świat jest źle urządzony i zwyciężyć w nim mogą tylko ludzie źli lub niewiarygodnie głupi. „Zwyciężyć” to może za wielkie słowo. A więc „wyjść na swoje”. „Na swoje” wychodzą Engstrand i Regina. A także pastor Manders. Pani Alving i Oswald są niewinnymi ofiarami. Choć są dobrzy, szlachetni i czyści, zostaną zbrukani i skazani na śmierć, która jest wybawieniem. W ostatniej scenie rozpęknie się ten wypalony horyzont, rozjarzy się oślepiającą jasnością, oświetlając Oswalda w ramionach pani Alving. Pod tą suchą gałęzią z bladymi, różowymi kwiatami magnolii.

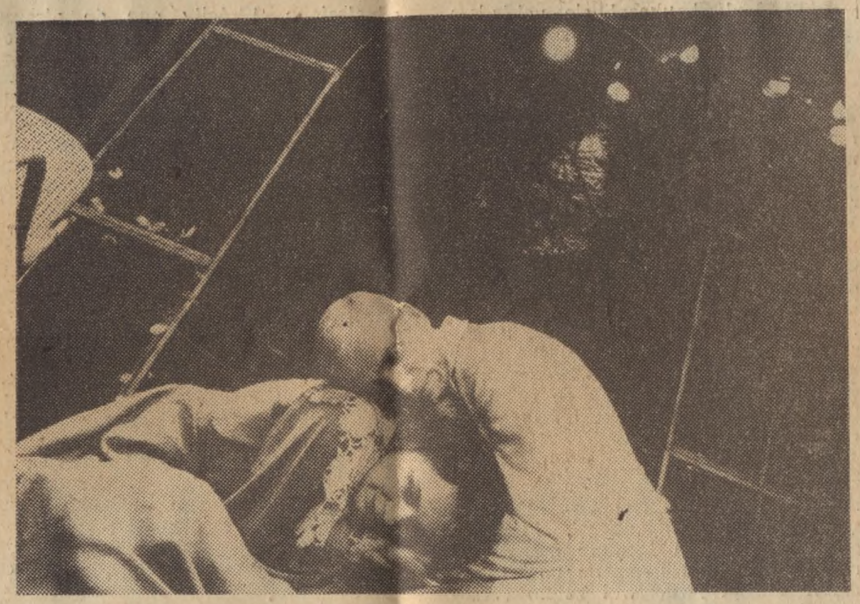

Teresa Sawicka (pani Alving) i Igor Kujawski (Oswald) w „Upiorach” Ibsena

Na pewno można robić „Upiory” o niszczącej sile zła. Ale muszą to jeszcze zagrać aktorzy. I grają. Fatalnie. Ibsena nie da się zagrać tylko po tekście i emocjach. Wyjdzie wtedy tania czułostkowość i cała zwietrzała już podszewka.

We wrocławskich „Upiorach” aktorzy grają jeden tylko temat, bez półcieni i półtonów. To, co u Ibsena odsłania się stopniowo, prawda postaci, a i do końca nie jest tak bardzo oczywiste, wiemy niemal od początku. Tak więc Regina (Ewa Skibińska) w pierwszych trzech scenach, do wejścia pani Alving, zdążyła zagrać wszystko. Cyniczną, lubieżną, bezwzględną i interesowną dziewuchę. Chce zdobyć Oswalda, wyrwać się z tego domu, czemu zresztą nie należy się dziwić. Czeka ją nudna praca w sierocińcu, a tak przynajmniej będzie z niej niezła dziwka. Engstrand (Igor Przegrodzki) jest obłudną, podłą, małą świnią. Lubieżnie ściska Reginę i niezbyt musi się wysilać, żeby oszukać Mandersa. Pastor (Ferdynand Matysik) jest bowiem tępym, zadowolonym z siebie, jowialnym głuptasem. Dziwne, że pani Alving może go kochać. „Duże dziecko” — mówi o nim, to prawda. Nie oznacza to jednak idioty. Oswald (Igor Kujawski) jest bardzo nerwowy. Nic dziwnego, z taką chorobą. Pani Alving (Teresa Sawicka) dobra, nieszczęśliwa, szlachetna i pełna litości nad swoim losem, czasem nieco kokietliwa.

Przedstawienie toczy się w tonie salonowej konwersacji, jak w komediach Shawa. Rozmawia się co prawda o sprawach dość przykrych, ale wszystko, co ci ludzie mówią, znaczy tylko tyle, co słowa przez nich wypowiadane. U Ibsena wszyscy dużo mówią. Tylko że pod słowami, nawet błahymi, są jeszcze podteksty, nerwowość, napięcia, doprowadzające do wybuchu — zwierzeń, uczuć, buntu. Tu nic. A ponieważ wszyscy już wszystko odegrali, salonowa konwersacja trwa. Do końca. Aktorzy, jakby w przeświadczeniu, że kazano im mówić głupstwa, zamiast grać ludzi, udają że cierpią i rozczulają się nad sobą do łez. Istotnie, w czym problem? Syfilis jest przecież uleczalny. Dziś. Nieślubne dzieci, pozamałżeńskie związki, sypianie z kim się da? Normalka. A więc pozostaje sentymentalna i ckliwa opowiastka o nie spełnionej miłości pani Alving, która musiała żyć ze zbereźnikiem chorym wenerycznie. I tak się pechowo złożyło, że ten syfilis przeszedł na ślubnego syna, zamiast na nieślubną córkę. Świat jest naprawdę wredny.

Rudolf Zioło jest reżyserem inteligentnym i wnikliwym, co mogliśmy sprawdzić po dwóch pierwszych jego przedstawieniach. Potrafi też pracować z aktorami. Zamierza podobno powrócić do „Upiorów”. Oby z lepszym rezultatem.

BOŻENA WINNICKA